

Asiunia



Joanna Papuzińska

ilustracje Maciej Szymanowicz

 Muzeum Powstania
Warszawskiego

 LITERATURA

Joanna Papuzińska
Asiunia

© by Joanna Papuzińska
© by Muzeum Powstania Warszawskiego
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka i ilustracje: Maciej Szymanowicz
Koncepcja serii: Muzeum Powstania Warszawskiego
Seria: Muzeum Powstania Warszawskiego dla dzieci
Koordynator projektu: Anna Bosiacka
Korekta: Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie I

ISBN 978-83-601-42-39-4
ISBN 978-83-7672-192-7

Muzeum Powstania Warszawskiego, Warszawa 2011
00-844 Warszawa, ul. Grzybowska 79
biuro@1944.pl
tel. (22) 539 79 05, (22) 539 79 06
faks (22) 539 79 24
www.1944.pl

Wydawnictwo **Literatura**, Łódź 2011
90-731 Łódź, ul. Wólczańska 19
handlowy@wyd-literatura.com.pl
tel. (42) 630 23 81
faks (42) 632 30 24
www.wyd-literatura.com.pl

Rozdział I



Na skraju miasta stał sobie taki nieduży blok, a w tym bloku było mieszkanie, a w tym mieszkaniu mieszkała moja rodzina. Było w niej bardzo dużo dzieci, dużo książek, bajek i piosenek, a wszystkim tym zarządzała moja mama. Na podwórku rosła wierzba płacząca, pod którą bardzo dobrze można było bawić się w chowanego.

Nie byłam jeszcze wtedy panią Joanną, tylko Asiunią, małą dziewczynką w szpiczastym kapтурku.

Niedawno właśnie miałam urodziny, skończyłam pięć lat. Siedziałam na fotelu babci, a wszyscy po kolei składali mi życzenia i dawali prezenciki. Bo miałam bardzo dużo braci i każdy mi coś podarował. Więc dostałam ołówek, gumkę, zeszyt do rysunków i taką czarodziejską kredkę, co z jednego końca pisała na czerwono, a z drugiego na niebiesko.



Gdy skończyła się wojna, miałam już lat sześć i pół. Te półtora roku, to była moja wojna, wcześniej nic nie pamiętam, prawie nic, bo byłam jeszcze za mała. Pamiętam, że w dniu urodzin mój starszy brat Marek bardzo surowo odpytywał mnie, co bym zrobiła, jakbym się zgubiła w mieście:

– Co masz wtedy powiedzieć? Że jak się nazywasz?

– Nazywam się Joanna Papuzińska. Mam pięć lat – mówiłam, i dla większej pewności pokazywałam rękę z pięcioma palcami.

– A gdzie mieszkasz? Podaj adres!

– Mątwicka trzy, mieszkania jeden!

– No dobrze – mówił Marek. – Tylko żebyś nigdy nie zapomniała! Adres jest najważniejszy!

Skąd mogliśmy wiedzieć, że niedługo już zgubimy się wszyscy? A adres na ulicy Mątwickiej przestanie być potrzebny, bo nie będzie już naszym domowym adresem i już nigdy, przenigdy do tamtego domu nie wrócimy? Że wprawdzie odnajdziemy się kiedyś, ale już nie wszyscy.

Adres jest
najważniejszy!

Rozdział II



Kiedy przyjechali niemieccy żołnierze zabrać moją mamę, to ja już byłam u sąsiadów. Nic nie widziałam i nie słyszałam, wiedziałam tylko, że tak musi być, bo tak powiedziała mama. Potem, kiedy „buda”, bo tak nazywał się ten samochód, co zabrał mamę, odjechała, zaczęła się moja wędrówka. Wszyscy gdzieś zniknęli, cały dom pełen ludzi gdzieś się zawieruszył. Była zima i skrzypiał zmarznięty śnieg i najpierw Andrzej, mój drugi brat, zaprowadził mnie niedaleko, na plac Narutowicza. Bo jest wojna, bo jest wojna, bo jest wojna – powtarzałam sobie w myśli.

Tak się zawsze mówiło w domu, kiedy coś było nie w porządku i nie można było tego wytłumaczyć. Kiedy na przykład na obiad, kolację i śniadanie była zawsze taka sama kasza krakowska na talerzu, kiedy nie można było dostać jakiejś

zabawki, choć bardzo się chciało, kiedy taty nigdy nie było w domu, kiedy musiałam wkładać okropnie drapiący sweter, od którego wszystko swędziało i piekło, zawsze winna była wojna.

– O, przed wojną... – mówiła babcia – to było inne życie.

Ale ja nie znałam żadnej przedwojny, ani tego innego życia, bo jeszcze mnie wtedy nie było na świecie. Ale tak naprawdę nie znałam też wojny, była sobie gdzieś daleko, „na froncie” – jak się mówiło, była też na ulicach, w postaci żołnierzy, którzy chodzili, tupali butami i mogli do



Bo jest wojna...
Bo jest wojna...



nie ma taty

nie ma mamy

nie ma mojego
kubka

ul. Filtrowa

ludzi strzelać i łapać ich do samochodów. Ale do domu dotychczas nie wchodziła.

Teraz się okazało, że wojna może nie tylko przyjść do domu, ale nawet go zabrać. Nie ma domu, nie ma twojego łóżka, poduszki ani kołderki. Musisz iść spać do innego, cudzego domu, gdzie zamiast mamy jest jakaś obca pani, obce meble, i musisz pić mleko z cudzego kubeczka, zamiast z tego, co zawsze. I jeszcze zamiast własnej piżamy dają ci do spania jakieś okropne, porozciągane koszulisko do ziemi.

Nie ma nie tylko domu, ale też żadnych bliższych ludzi. Nie tylko mamy ani taty, ale też moich braci ani sióstr. Nie ma Przemka, który fikał kozły na trapezie i grał na organkach. Nie ma Andrzeja, który czytał mi wierszyki, a potem, jak mu się znudziło, zaczął mnie uczyć liter. Ani Marka, ani Krzysia, ani małego Tomeczka. Po prostu nikogo. Wiem, że oni gdzieś są, ale nie wiadomo gdzie. Po zabranii mamy przez Niemców, zajęli się nami jacyś dobrzy ludzie. Ale nikt nie mógł zaopiekować się wszystkimi dziećmi razem. Dlatego zostaliśmy rozdzieleni, każdy osobno. Ja jestem tu, na Filtrowej, a oni gdzieś tam indziej, w jakichś innych, obcych domach.

Rozdział III

W domu na Filtrowej mieszkały trzy panie, jak trzy szare wróżki, i jedna mała dziewczynka, taka trochę większa niż ja, nazywała się Elka. Te panie były zawsze bardzo poważne, nie pamiętam, żeby kiedyś się śmiały, najwyżej uśmiechały się. Nie było, oczywiście, mowy o jakimś wygłupianiu się, jak zawsze u mnie w domu, bo przecież była wojna. Dlatego było bardzo smutno i nie mogłam w nocy spać. Jeszcze jedno smuciło mnie w domu na Filtrowej: te panie były bardzo surowe dla Elki, wciąż się na nią gniewały i było mi przykro, chociaż dla mnie samej były nawet łagodne.

W dzień chodziłam z Elką do przedszkola i to było dużo lepsze. Przechodziło się przez wielkie podwórze i tam były pokoje, a w nich różne dzieci. Śpiewaliśmy piosenki o krasnoludkach – hopsasa, hopsasa. Bawiliśmy się też w „w stawie, w stawie pływają łabędzie, kto pary nie złapie, ten niezdara będzie”, ale ja nigdy nie zostałam



niezdara, bo Elka zawsze zdążyła złapać mnie za rękę i już byliśmy parą.

Najlepsza była zabawa w „mało nas do pieczenia chleba”. Chodziło się w kole i przywoływało coraz to nowe dzieci po imieniu:

*– Mało nas, mało nas, do pieczenia chleba,
tylko nam, tylko nam Andrzejka potrzeba.*



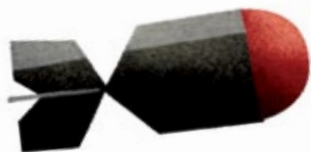
I po kolei do koła wchodzili Andrzejek, Zośka, Basia, aż robiło się wielkie koło i potem było tak ciasno, że już nie było można się ruszać. To było w całej zabawie najmilsze, a potem znowu dzieci po kolei odchodziły i koło zmniejszało się.

W nocy, kiedy już wszyscy spali na Filtrowej, trąbiły nieraz syreny i to był nalot. Trzeba było schodzić z trzeciego piętra i chować się do piwnicy, gdzie śmierdziało starymi kartoflami i siuśkami. Siedziałyśmy z Elką przytulone ciasno do siebie i wszystkie kobiety śpiewały:

– *Wygnańcy Ewy, do Ciebie wołamy,
zlituj się zlituj, niech się nie tułamy...*



Aż w końcu syreny trąbiły drugi raz, nalot się kończył i wracałyśmy do łóżek. Ale ta modlitwa śpiewana w piwnicy nie za bardzo pomagała i dalej trzeba było się tułać.



Rozdział IV



Nie wiem, jak to się stało i dlaczego, ale potem zabrali mnie do innego domu i do innej pani. Czy już te panie z Filtrowej mnie nie chciały, czy gdzie indziej miało mi być lepiej, czy z innego powodu, ale znalazłam się na ulicy Alberta, u ciotki Oli. Nie była ona moją prawdziwą ciotką, tylko tak kazała do siebie mówić.

U ciotki Oli spałam na dwóch zsuniętych fotelach i pierwszej nocy te fotele rozjechały się, a ja spadałam na podłogę. Ale potem ciotka zawsze związywała im na noc nogi sznurkiem i już nie spadałam. Ciotka Ola była dla odmiany bardzo wesola i ciągle się jej trzymały żarty. Na przykład udawała, że jest tygrysem, i goniła mnie dookoła stołu, a ja uciekałam i wołałam:



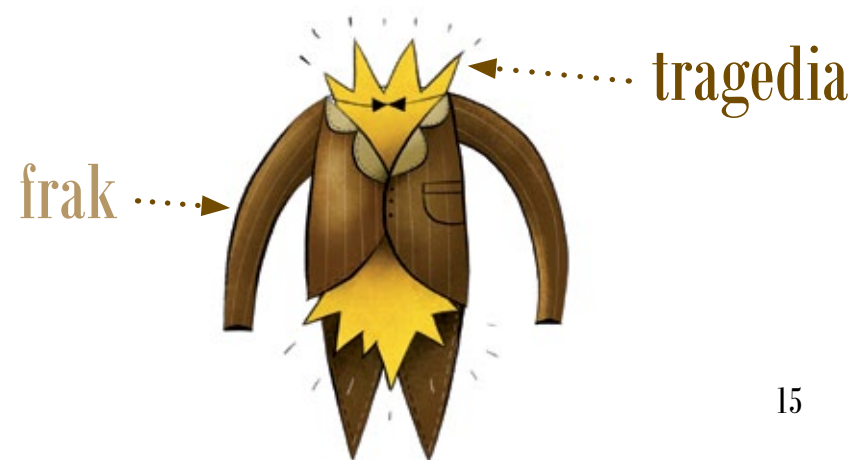
Tygrys,
tygrys,
ogon sobie
wygryzł!

– Tygrys, tygrys, ogon sobie wygryzł!

Albo czasem rano ciocia Tygrys pomagała mi przy ubieraniu i, niby to nie wiedząc, co do czego służy, nakładała mi majtki na głowę, a pończochy na ręce. Zaśmiewaliśmy się przy tym do rozpuku.

U niej przyszła już wiosna i Wielkanoc. Zrobiło się ciepło, a ja nie miałam sukienek, ani letnich butów, tylko ciągle ten zimowy płaszcz z kapturkiem. W dodatku urosłam i to była tragedia, jak mówiła ciocia. Ale nigdy nie mówiła, że jest tragedia, tylko że „tragedia we fraku”. W każdym razie zdobyła dla mnie sandałki i sukienkę, nie wiem skąd, ale problem został rozwiązany.

Jak się już przyzwyczaiłam do cioci Tygrysa, to znów była przeprowadzka. Tym razem bardzo wesoła, bo nie jechałam już do żadnej obcej pani, tylko do własnej babci.



Rozdział V

Babcia czeka na mnie w małym, drewnianym domku wynajętym na lato, na letnisko. Tu są już wszyscy. Nie, nie wszyscy, nie ma przecież ani mamy, ani taty, ale znowu jestem wśród swoich.

Są siostry, Ewa i Danka, są bracia: Przemek, Krzysztof i Marek. Mały Tomek z łysego niemowlaczka stał się ślicznym chłopczykiem z niebieskimi oczkami i złotymi loczkami. Wszyscy się nim zachwycają i pytają, czyje to takie piękne dzieciątko. Starsi bracia wsadzają go do wózka i pędzą galopem po ścieżkach, aż Tomkowi głowa się trzęsie. A my z Ewą lubimy siedzieć pod werandą, gdzie jest cień i chłód, i tam bawimy się w sklep. Rozkoszne wakacje.



Rozkoszne
wakacje.

Ale pewnego dnia starsi bracia mówią, że oni idą do Warszawy, bo tam będzie Powstanie. Oni muszą tam iść i walczyć z Niemcami, bo są harcerzami i złożyli przysięgę. Babcia gniewa się na nich, ale nic nie pomaga, zakładają plecaki i odchodzą.

Jednak nie udaje im się dojść do miasta, bo mosty na Wiśle są pilnowane przez niemieckie wojsko, które nie przepuszcza nikogo. Wieczorem przychodzą z powrotem do domku, zmartwieni i wściekli. Muszą zostać z nami.

...bo są harcerzami
i złożyli
przysięgę.



Rozdział VI

Biegam po polu i słucham, jak wieje wiatr. To jest bardzo ciekawe, bo wiatr ma różne głosy, w zależności od tego, w którą stronę się biegnie. Szumi, świszczę i dudni, łopocze za każdym razem inaczej. Potem odkrywam, że na łące jest niewielki dołek, taka kotlinka, w sam raz dobra na to, żeby wejść tam i zwinąć się w kłębek. Teraz robi się cicho, głosy wiatru płyną gdzieś z daleka nad głową. Tak sobie leżę przez chwilę, a tu staje nade mną Przemek i krzyczy:

– Gdzie się chowasz! Trzeba uciekać do schronu! Szybko, szybko! – I ciągnie mnie za rękę.

Buch!

Buch!

Buch!



W powietrzu fruwa ziemia. Buch-buch, całe kawały ziemi wylatują w górę, a potem rozsypują się na małe kawałeczki i spadają z powrotem na trawę, na kwiatki, na nas. To strzela artyleria, czyli armaty. Biegniemy jak najszybciej, żeby się schować w murowanym domu sąsiadów, w ich piwnicy. Dom nie jest zbyt mocny, ale zawsze co murowany, to murowany, więc wszyscy sąsiedzi z drewnianych domków przychodzą tu, do piwnicy, i jest straszny tłok.

Wszyscy się już schowaliśmy, ale nie ma babci Tosi ani Marka. Co im się mogło stać? Na dworze strzelanina i wybuchy, bardzo niebezpiecznie. Niepokojmy się, a sąsiedzi snują domysły:

- A może pocisk uderzył w domek?
- Albo któreś odłamkiem dostało?

Ale jednak są! W drzwiach piwniczki ukazuje się babcia, powoli, ostrożnie schodzi po schodkach. Za nią kroczy Marek, też ostrożnie, bo przed sobą, w obu rękach niesie wielki garnek.

Na nasze wymówki odpowiadają krótko:

– To co, mieliśmy kluski zmarnować?

Okazuje się, że babcia akurat zaczęła gotować kluski kładzione, kiedy rozpoczął się ostrzał. Więc przecież nie mogła zostawić takiego cennego dania na pastwę losu. Musiała dokończyć gotowanie.

To co, mieliśmy kluski zmarnować?



Rozdział VII

Pewnego dnia przyszli żołnierze, krzyczeli: „Raus, raus!” i „Schnell, schnell!” i wygonili nas z domu. Z wszystkich domków wyrzucali ludzi, i z tych wyrzuconych zrobił się na drodze wielki pochód dziwaków, bo każdy włókł ze sobą jakieś toboły, torby, walizki, a niektóre panie, chociaż dzień był bardzo gorący, poopatulały się w zimowe futra.

Tak wszyscy szli i szli, nie wiadomo po co i dokąd, a żołnierze tylko krzyczeli: „Schnell!” i „Schnell!”. Niektóre walizki i toboły, a nawet futra, dawno już poleciały do rowu przy drodze, bo nie było siły dalej ich nieść. A myśmy nie mieli dużych bagaży, ale i tak nie mogliśmy iść „schnell” – czyli szybko, bo ciocia niosła małego Tomka, babcia miała chorą nogę i tak coraz bardziej zostawaliśmy z tyłu tego pochodu, a ja płakałam, że mnie bolą nogi i że muszę usiąść na trawie.

W końcu szliśmy już na samym ostatku, a za nami byli tylko żołnierze. Zaczęli wołać:

„Schnell, schnell!”, a babcia zaczęła im pokazywać swoją sztywną nogę w ortopedycznym bucie i małego Tomcia na ręku cioci, i ryczącą mnie, i że tyle jest z nią dzieci. I nie wiem, co im się stało, czy może im się spodobał mały Tomek, czy nagle im się żal nas zrobiło, czy co, bo żołnierz machnął ręką i poszedł sobie dalej, a my zostaliśmy sami na drodze. Siedzieliśmy w rowie i patrzyliśmy, jak znika cały ten pochód i opada kurz.

To było dobre, tylko że teraz nie mieliśmy gdzie spać, znowu nie było domu. A robił się już wieczór.

Raus, raus!
Schnell, schnell!



Rozdział VIII

Przyjęła nas w końcu do siebie jakaś pani i znowu siedzieliśmy w piwnicy, a nad nami waliły armaty. Atakowała rosyjska armia, a Niemcy cofali się. To trwało przez parę dni, aż wreszcie ktoś uchylił drzwi od piwnicy:

– Rosjanie przyszli! Rosjanie!

Bardzo się ucieszyliśmy, bo myśleliśmy, że już zaraz Warszawa będzie wolna i wrócimy do domu. Ale się okazało, że to wcale nie zaraz. Bo Rosjanie zatrzymali się przed Wisłą, a nasza Warszawa była za Wisłą i ciągle trwało tam Powstanie.

Więc wróciliśmy do domku w Aninie, ale nie był to już ten wesoły domek, tylko biedny, postrzelany i dziurawy. Nie było przy nim łączki, na której przedtem bawiłam się z wiatrem, tylko wielka dziura w ziemi po jakimś wybuchu. Pokiereszowane, wypalone domy stały puste, z powybijanymi oknami.



Front tędy przeszedł.



– Front tędy przeszedł – mówili bracia, a ja myślałam sobie, że ten front to taki zły olbrzym z bajki, coś jakby troll – nawet podobnie się nazywał – który szedł i ogromnymi nożyskami wszystko deptał i łamał, a jeszcze w dodatku kopnął w nasz domek.

Ale to był jedyny dom, jaki nam pozostał. I musieliśmy tu być, bo tu miał do nas przyjść Stach, jak mówiła babcia, czyli tak naprawdę nasz tata. Więc chłopcy załatali jakoś dziurę w ścianie, dziewczynki pozmiały gruz i śmieci, a babcia rozpałała ogień. Znalazł się trochę poobijany czajnik i kilka garnków.

Czasem przechodził drogą jakiś człowiek i wstępował do nas. Z tymi ludźmi przychodziły straszne wiadomości, że nasza Warszawa umiera, że już umarła.

Przedtem, kiedy nadeszła wiosna i zrobiło się gorąco, wtedy zrobił się kłopot, bo nie mieliśmy letnich ubrań. Ale to był mały kłopot. Duży zaczął się wtedy, kiedy nadeszła zima i nie mieliśmy zimowych ubrań. Nie można było pójść do szafy i wyciągnąć ciepłej kurtki, bo szafa została w domu, którego nie było. A żadnego sklepu też nie było, żeby coś w nim kupić. Zresztą gdyby nawet był, to potrzebne były pieniądze, których też nie było.

Rozdział IX

Mały, drewniany domek, dobry akurat na letnisko, nie nadawał się na zimę. Miał tylko jedną malutką kuchenkę, na której można było rozpalić ogień – oczywiście, jeśli było czym. Latem chodziliśmy do lasu po patyki i po szyszki. Ale zimą te małe podpałki starczały tylko na chwilę, wesołe płomyki zaraz gasły i znów przewiewał zimny wiatr. Chłopcy ściągali z sąsiedztwa połamane deski, sztachety z płotów, a i tak wciąż było za mało.

I coraz bardziej nie było co jeść.



Babcia mówiła, że zamiast się zamartwiać, to trzeba mieć „pomyślunek”.

Pomyślunek polegał na tym, że w lesie zbierało się żołądziejce, potem zdejmowało się z nich skórkę, a potem babcia przypiekała je na patelni i jak już zbrązowiały, no to gotowała z nich kawę. Kawa była dosyć gorzka, ale za to pożywna, jak babcia mówiła.



Potem pomyślunek jej podpowiedział, żeby pozbierać strączki takiej pnącej fasolki, co rosła na ganku, i łuskałyśmy tę fasolkę, miała fioletowo-czarne ziarnka, w sam raz dobre, żeby się nią bawić w krowy na pastwisku, albo w szkołę, ale nie o to chodziło. Babcia nasze krowy namoczyła w wodzie, potem długo gotowała i wyszła z tego czarna zupa. Ja dostałam jej tylko troszkę, żeby mi nie zaszkodziło, ale chłopcy wszystko zjedli ze smakiem.



Ciocia Lunia miała taki pomysłułek, że spruła swoją wełnianą kamizelkę, że niby już jej niepotrzebna. Kazała mi trzymać ręce podniesione w powietrzu i nawijała na nie sprute nitki. Ja najpierw myślałam, że to będzie coś do jedzenia, bo chłopcy śpiewali:

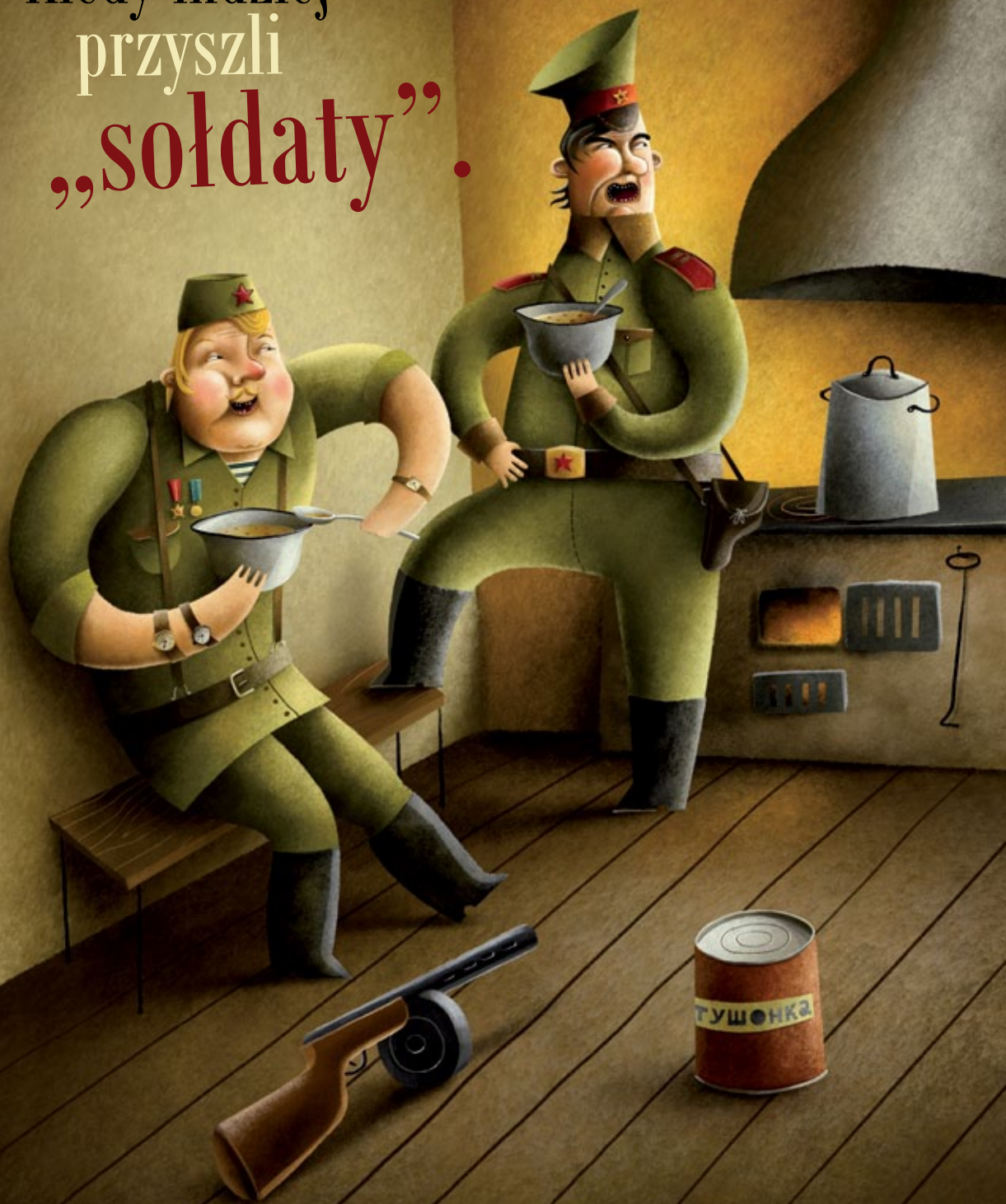
*– Zjadłbym wszystko, wiór czy wełnę,
byle brzucho było pełne!*



Ale wcale nie zgadłam, bo z tej wełny ciocia porobiła potem kłębki, a z tych kłębków z powrotem coś zrobiła na drutach i wyszedł z tego dla mnie sweter. Trochę dziwny, ale zawsze ciepły, tylko tyle, że cioci było teraz zimno bez kamizelki, ale mówiła, że to nic.

Któregoś dnia w przepuście pod torami kolejowymi chłopcy złapali zająca. Bardzo mi przykro, że muszę to napisać, ale zajączek został zabity i zjedzony. Bo była wojna i nie mieliśmy co jeść.

Kiedy indziej przyszli „sołdaty”.



Kiedy indziej przyszli „sołdaty”, czyli rosyjscy żołnierze, i chcieli sobie w naszym domku zrobić gorące jedzenie. Babcia ugotowała im zupę, a oni za to zostawili nam trochę swojego wojskowego pożywienia: suchary i tuszonkę, czyli taką konserwę z tłustym mięsem. Ale to były wyjątkowe dni, wszystko starczało na krótko, bo nas było bardzo dużo – aż dziesięć „gąb do żywienia”.

Przypominałam sobie ulubioną piosenkę z przedszkola o pieczeniu chleba. Naprawdę było „dużo nas do pieczenia chleba”, ale teraz już wiedziałam, że do pieczenia chleba musi przecież być mąka, a mąki nie było, więc cała ta piosenka nie miała sensu bez mąki. Powinno się śpiewać „dużo nas do jedzenia chleba”.



Rozdział X

Jednego zimnego wieczoru ktoś zapukał do drzwi. Gdy je otworzyliśmy, weszła poowijana w chusty babuleńka. Była to ciocia Tygrys, ta sama, u której mieszkałam kiedyś. Kiedy się po-odwijala z tych chustek, okazało się, że ma na ręku dzidziusia, małe dziecko w śpioszkach, też w coś tam pozawijane. Pomyślałam sobie, że jeszcze jedno dziecko do nas przybyło, a ciocia – łap je za głowę – i z głowy dzidziusia posypała się kasza! Cały ten dzidzius to było tylko ubranko wypchane jedzeniem!

Tak bardzo się śmiałam, jak już dawno mi się nie zdarzyło. Ale nas ta ciocia nabrała! Lecz wkrótce się okazało, że to wcale nie było dla zabawy. Wytłumaczyła mi babcia, że chodziło o to, żeby nikt nie wiedział, że ciocia Tygrys nie-sie nam jedzenie, bo mogli jej zabrać po drodze.

– Jak to? – nie mogłam się nadziwić.

– Czy ty nie wiesz, że nie ma jedzenia, że ludzie głodują? – rozgniewała się babcia. – Przecież jest wojna!



– A dzidziusia? – dopytywałam się dalej.
– Co: dzidziusia? – Babcia już wyraźnie traciła cierpliwość.

– Czy nie mogą zabrać dzidziusia?

W ten sposób dowiedziałam się, że w czasie wojny jest dużo takich dzieci, których nikt nie chce. Ich rodzice umarli albo ich bomba zabiła, albo siedzą w więzieniu, a kto by sobie brał dziecko na głowę w takich trudnych czasach? – tak mówiła babcia.

– Ale ty, babciu, sobie nas wsadziłaś na głowę?

– O, nie, to zupełnie co innego, przecież jesteście moimi wnukami... Zresztą... To bardziej chyba chłopcy opiekują się nami, niż my – nimi...

Rozdział XI

Tak, najtrudniejsze było życie chłopców, moich starszych braci. To oni wystawiali na zimnie, sprzedawali bułki i papierosy na stacji, mieli odmrażane ręce, dziurawe buty, które uszczelniali papierem i szmatami, podarte i wyrośnięte kurtki z za krótkimi rękawami. Pracowali jak

Najtrudniejsze było
życie chłopców, moich
starszych braci.



dorośli, a przecież byli tylko zwykłymi nastolatkami, jakich dziś uważa się za dzieci, a co najwyżej za młodzież. Żeby rosnąć, potrzebowały więcej jedzenia i nowych ubrań, a nie mieli ani jednego, ani drugiego. Dlatego czepiały się ich różne choroby, a najgorsze z nich były chyba czyraki. Czyraki, albo wrzodzianki, to takie wielkie krosty na szyi, rękach, nogach, które nie chcą się goić. Nie było na to lekarstw, ani nawet porządnych opatrunków.

Moi bracia tracili już swój zawadiacki humor, a babcia nie miała więcej „pomyślunków”.

Będziemy
na miejscu
w try miga.



Właściwie to był jeszcze jeden, nad którym dyskutowano: żeby zostawić domeczek i przenieść się do cioci Oli. Nie do Warszawy, bo nasza Warszawa wciąż jeszcze była w rękach niemieckich żołnierzy, którzy teraz, po upadku Powstania, palili i burzyli całe miasto, mścili się na murach i ulicach za zbuntowanych mieszkańców.

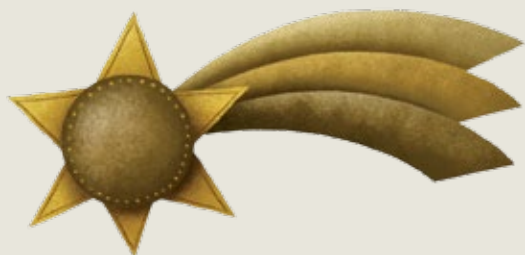
Żeby pojechać do tego Stoczka, trzeba było mieć z kolei przepustkę od żołnierzy rosyjskich, bo przecież była jeszcze wojna i wojsko było władzą. Udało się te przepustki zdobyć i któregoś dnia spakowaliśmy swoje nieduże manatki i wsiedliśmy do jakiejś wojskowej ciężarówki, która ruszyła w drogę. Rosyjski kierowca, któremu babcia zapłaciła za przewiezienie nas, powiedział, że będziemy na miejscu w try miga, a to znaczyło, że bardzo prędko.

I rzeczywiście, podróż nasza skończyła się prędko, ale nie tak, jak to było w planie. Gdzieś na rozstajach, czyli na skrzyżowaniu dróg, stali inni rosyjscy żołnierze i oni byli bardzo wściekli, że „cywile” jadą ich samochodem. Powiedzieli, że nasza przepustka jest niedobra i musieliśmy wysiąść. Samochód pojechał sobie dalej, a my staliśmy na śniegu.

Jednak udało się wynająć wóz z koniem. Woźnica napakował wóz słomą i tak, poowijani w słomę, która trochę chroniła przed mrozem, wyruszyliśmy dalej. Ale było tak zimno, że woźnica co jakiś czas kazał chłopcom schodzić z wozu i biec za koniem, żeby nie zamrzli. To już nie było w try miga, ale jakoś w końcu dotarliśmy do Stoczka, gdzie powitała nas ciocia Ola.



Rozdział XI



Ciocia Ola była prawdziwym tygrysem i miała nawet więcej siły niż tygrys. Opiekowała się aż setką różnych dzieci i to wcale nie swoich rodzonych, tylko takich, które pogubiły się na wojnie. Niektóre z nich przyjechały latem z Warszawy na kolonie do Stoczka, ale nie mogły już wrócić, bo w Warszawie było Powstanie, więc kolonie letnie zamieniły się na jesienne, a później na zimowe. Potem przybywały inne bezdomne dzieci, na przykład tacy przybłąkańcy jak my.

Ciocia Tygrys umiała jakoś trafić do ludzkich serc i zdobyć dla swojej kolonii pożywienie i opał. Była tu szkoła, a nawet teatr: dzieci przedstawiały jasełka z aniołami i pastuszkami.





Ale wreszcie nadeszła wiosna. Można było biegać boszo po trawie i nie martwić się o buty. Zbliżał się koniec wojny i zaczęło się wielkie czekanie na rodziców. Ci rodzice, którzy przeżyli wojnę i Powstanie, przychodzili po swoje dzieci, nieraz z bardzo dalekich stron.

I któregoś dnia
przyszedł także
nasz tato.



Asiunia,

mała dziewczynka w spiczastym kapturku, która dostała strasznie dużo prezentów na piąte urodziny, to dziś prof. dr hab. Joanna Papuzińska. Urodziła się 3 stycznia 1939 roku. Jej mama była bibliotekarką i szalenie lubiła książki, a tata – pedagogiem. Oboje opiekowali się biednymi dziećmi. Asiunia uwielbiała oglądać kolorowe obrazki, słuchać opowieści babci i bawić się ze starszymi braćmi, gdy tylko mieli na to czas. Strasznie nie lubiła wojny, ponieważ zabrała jej na początku mamę, potem dom, tatę i braci. Na szczęście prawie wszystko dobrze się skończyło, ale o tym już wiecie z książki. Gdy po zakończeniu wojny tata odnalazł Asiunię, zamieszkali w Warszawie przy ul. Lwowskiej. Dziewczynka uważnie obserwowała, jak zmienia się Warszawa i świat dokoła niej, aż w końcu postanowiła zostać pisarką.

